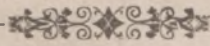


WIECZORY RODZINNE,

CIASOPISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE

DLA DZIECI.



CHOINKA.

Światło niesie anioł biały,
Zapalone u Gwiazdeczki,
By promienie Boskiej chwały
Oświecili was, dziecieczki.

U Gwiazdeczki betleemskiej
Zatlił jasne światło Boże,
I na padół niesie ziemski
Tę przyszłości bratniej zorzę.

W tém światelku na choinie
Jest ukryte posłannictwo,
Które kaźdój z was dziecinie
Niesie anioł na dziedzictwo.

Przyjmcież światło to radośnie,
I roznoście je po świecie,
Niech bez światła nie wyrośnie
Ani jedno odtąd dziecię.

To jest wasze posłannictwo
Światłem darzyć młodszą bracię,
A oświata to dziedzictwo,
Które z góry dane macie.

M...a.

KRÓL BOHATER.

Opowiadanie historyczne.

przez starego nauczyciela.

(dalszy ciąg).

XI.

Nazajutrz dopiero po ucieczce Turków, zwycięzcy, uspokojeni już co do możliwości powrotu nieprzyjaciela, zaczęli oglądać zdobyty obóz i łupy bogate. A było tam prochu i amunicji moc niesłychana, kosztowności bez liku w porzuconych namiotach, których narachowano sto tysięcy. Wezrą umykał na jednym koniu i w jednej sukni, jak pisał król do żony, dodając: „jam został jego sukcesorem”. Najszacowniejszym jednak skarbem dla króla bohatera była wielka chorągiew Mahometa, przesłał ją natychmiast przez dworzanina swego Włocha Ojcu Ś-mu, który ją przyjął z najwyższą radością i obnosić kazał z procesją w Rzymie od kościoła do kościoła, O przepychu namiotów wezrskich pisze król: „Co zaś za delicye miał przy swych namiotach, wypisać niepodobna: miał łaźnie, miał ogródek i fontanny, króliki i koty, była nawet i papuga, ale że latała, nie mogliśmy jęj pojmać”.

Jeszcze bramy Wiednia były wszystkie zamknięte i zatarasowane, gdy wyłomem, przez nieprzyjaciela wybitym, wprowadził Stahremberg króla wybawcę. Przed nim niesiono chorągwie i buń-

czki tureckie. Najpierw chciał król wejść do kościoła, najbliższym był kościół OO. Jezuitów, tam odmówiwszy modlitwę, szedł dalej do kościoła Augustyanów, gdzie mszy Ś-tój słuchał i sam zaintonował „Te Deum”. Lud wiedeński witał go z uniesieniem wdzięczności, lecz radości swęj nie śmiał wyrazić głośnie okrzykami, gdyż starszyzna na to nie pozwoliła. Niewdzięczność już zaraz na drugi dzień wyszła na jaw, wiwatów nawet pożałowano temu, który własną pierś nastawił w obronie tego miasta i jego mieszkańców. „Kupa jedna nie wytrzymała i zawołała Wiwat! pod strachem, na co widziałem, że krzywo patrzano” tak pisał król.

Cesarz Leopold ociągał się z powrotem do stolicy, bo nie chciał być świadkiem tryumfów Sobieskiego, a potem w kłopotcie był wielkim, jak ma przyjąć króla elekcyjnego, którego pycha nie pozwalała mu uważać za równego sobie. Ponieważ już Turka się pozbyto, więc naradzano się teraz nad temi ważnemi sprawami dworskiej etykiety. „Otwartemi ramionami powitać należy zbawcę” mówił książę Lotaryński, ale ba! póki bez niego obejść się nie było można, to go głaskano i obsypywano obietnicami, teraz, kiedy już zrobił swoje, zbawił Wiedeń i chrześcijaństwo, stał się niepotrzebną zawadą. Król Jan doskonale się na tém poznał i sam chciał się usunąć jaknajprędzej, pisał do żony o cesarzu: „nie szczerze chce się widzieć ze mną dla swęj podobno pompy.”

Nie dopuścili jednak do tego inni książęta, otaczający cesarza i po długich układach, stanęło na tém, aby obaj monarchowie zjechali się na polu, na koniach, dla uniknienia wszelkich ceremonij dworskiego przyjęcia. „Przywitaliśmy się dosyć ludzko” pisał król, cóż, kiedy cesarz boleśnie zranił ojcowskie jego serce, bo gdy mu przedstawił syna, królewicza Jakóba, który także przeciw zycie swoje dla niego narażał, on nawet głowę nie kiwnął, jak gdyby go nie widział. Może to etykieta nie pozwalała na to, aby cesarz miał zdejmować kapelusz przed młodzieńcem, który nie był następcą tronu i żadnych praw do korony nie posiadał; mógł jednak na ten raz od tęg niedorzecznej etykiety odstąpić. Chciał wprawdzie cesarz to uchybienie naprawić, zamiarkowawszy się później i przysłał królewiczowi szpadę wysadzaną drogiemi kamieniami, zapraszając go nawet na swój dwór, ale było to już po niewczasie. To samo powtórzyło się, gdy hetman koronny, Jabłonowski, przedstawiał cesarzowi wojska polskie; przytoczymy tu znów słowa listu królewskiego: „Wojsko nasze okrutnie było żalosne i głośno narzekało, że im przynajmniej kapeluszem tak wielkiej ich pracy i straty nie nagroził”. Spotkanie

to nastąpiło dnia 15 Września na polach Szwechadzkich pod Wiedniem. Stoi na tém miejscu pomnik w kształcie ostrosłupa z napisem łacińskim następującej treści: „W roku 26 chwalebne go panowania Leopolda I, w dniu 15 Września, dwaj najwięksi monarchowie Europy: Leopold cesarz i Jan III, król polski, po oswobodzeniu szczęśliwie Wiednia od oblężenia, zmusiwszy do ucieczki ogromną armią barbarzyńców, zdobywszy ich działą i żywność, zabrawszy oprócz tego bogate łupy, spotkali się w tém miejscu, aby sobie wśród zwyciężkich hufców swoich nawzajem powinszować, w orszaku obu stron hetmanów, książąt i magnatów.“

Poobrażał też cesarz Leopold tą niewdzięcznością i pychą nawet i niemieckich swych sprzymierzeńców, wszyscy go zaczęli odstępować i wojska zabierać do domu, chociaż niebezpieczeństwo wcale jeszcze nie przeminęło. Kara Mustafa, skazawszy na śmierć kilku paszów, na których zwał winę niepowodzenia, zbierał znów siły swoje pod Budą, a i Węgrzy mu pomagali. Król Jan okazał się jednak do końca szlachetnym i wspaniałomyślnym, nie zważał na nic i postanowił iść dalej i ostatecznie wybawić Austryą od nawały tureckiej. Nie zraziły go, ani przykrości osobiste, ani krzywdy, jakich doznawało wojsko polskie od Austryaków, jako Polak prawdziwy, szlachcic, nim królem został, więc nad to wszystko ważył dane słowo, *verbum nobile*. Doszło do tego, że ci waleczni wojownicy, którzy krew swoją przelewali w obronie Niemców, teraz głodu przymierać musieli w ich kraju, bo nie dostarczano prowiantu, ani dla ludzi, ani dla koni; nawet grzebać umarłych na cmentarzach nie pozwalano, zagrożono żołnierzom polskim, że strzelać do nich będą, jeśli się poważą cisnąć do Wiednia i upominać o to, co im się przecież z prawa należało.

Król narzekał na to wszystko przed żoną jedynie i zalecał, aby tych smutnych zwierzeń nie rozgłaszała po gazetach, cytując wiersz Kochanowskiego:

„Nieźle czasem zamilczeć, co człowieka boli,
By nie rzekł nieprzyjaciel, że cię mam po woli.“

Radby był tylko wyrwać się jaknajprędzej z pod Wiednia, choćby do nieprzyjacielskiej ziemi, bo i tam mu już gorzej być nie mogło. Nadeszły tymczasem nowe oddziały wojska z Polski, a między niemi i tyle oczekiwany Mężyński z Kozakami. Radził król nie tracić czasu, aby nieprzyjaciel się nie wzmocnił, i śpiesznie natrzeć na niego pod Budą. Niemcy jednak zwlekali, marudzili i dopiero 3 Października przeprawiać się poczęły wojska przez Dunaj pod Komornem, a Polacy zawsze

szli na przedzie. Hetman polny Sieniawski pozostał chory w Wiedniu, nie powstał już z tej choroby i wieziony do Polski w drodze życia dokonał. W tym pochodzie wojsk polskich z pod Wiednia ku Węgrom, hetman Jabłonowski, zwiędzając opuszczony i zniszczony kościółek w wiosce Wischau, znalazł tam stary obraz Matki Boskiej z dwoma aniołami, trzymającymi koronę, i karty z napisami łacińskimi: „W Imię Maryi zwyciężysz Janie“, Zabrał król ten obraz, który tak wyraźnie zdawał się zwycięstwo jego głosić, do Żółkwi. Później dostał się do Nieświeża.

Na radzie wojennej uchwalono, aby uderzyć na twierdzę Strzygoń, czyli Gran, przez Turków silnie obwarowaną, a później wyprzeć ich z Budy; po drodze zaś było jeszcze miasteczko Parkany naprzeciw Granu, Dunajem od niego oddzielone, jak Peszt od Budy. Miasteczko to za nic sobie wazono, gdyż według wieści fałszywych, miało tam być tylko kilkuset janczarów na załodze. 7 Września Król Jan raniutko pomknął naprzód ze swoim wojskiem, zostawiając cesarskich w tyle, a straż przednia nieostrożnie zbliżyła się do Parkanów. Lecz tam niespodzianie spotkała się, nie z kilkuset, lecz z kilkudziesięciu tysiącami Turków. Wezry, zamknięty w Budzie, najlepsze wojsko swoje wysłał pod rozkazami Karamechmeta, jednego z najdzielniejszych paszów, aby przeciąć drogę hufcom chrześcijańskim.

Tak nierówna walka nie mogła być pomyślną, garstka Polaków, pomimo męstwa nieustraszonego, uleść musiała przemagającej sile, nadjechał na to sam król, a ponieważ nie miał zwyczaju cofać się przed nieprzyjacielem, więc pomimo prośb hetmana Jabłonowskiego i innych, chciał koniecznie wytrwać na stanowisku. Lecz to było niepodobieństwem i do tyłu goryczy, których doznawał w ostatnich czasach, dołączyła się jeszcze straszna porażka. Wojsko zaczęło uchodzić w takim popłochu, że król pozostał z siedmiu tylko towarzyszami i o mało życiem lub wolnością nie przypłacił swęj odwagi. W największej obawie o królewicza, który mu znikł z oczu, musiał on rad nie rad ratować się ucieczką. Turcy gonili za nim z szaloną zjadłością, już raz o mało go nie dosięgli, gdy rajtar jakiś nieznamy, który przed chwilą przyłączył się do królewskiego nielicznego orszaku, zasłonił go piersią własną i ocalił. Przypłacił życiem to poświęcenie dla króla. Szukano go nazajutrz po całym obozie nadaremnie, nawet nazwiska jego nie wykryto, pamięć tylko czynu bohaterskiego przeszła do potomności.

Porażka ta w taki straszny gniew wprawiła króla, że jak tylko odszukał swego Fanfanika, nie zważając na utrudzenie, chciał natychmiast z po-

łączonemi siłami powracać pod Parkany i srogo pomścić się na nieprzyjaciolach za takie ciężkie swoje upokorzenie. Lecz powstrzymali go wodzowie niemieccy, a panowie polscy zaczęli namawiać, aby porzucił wszystko i wracał do kraju. Najbardziej na to nastawał Stefan Czarniecki, pisarz polny koronny, ten sam, co to niegdyś przewodził w konfederacji gołąbskiej. Ale nie mógłby być król bohater przenieść takiej hańby, aby zaraz po ucieczce opuścić plac boju, jak tchórz, i zgromił niewczesnych doradców. „Lubo wojsko wczoraj podrwiło, rzekł, jutro się poprawi“.

I poprawiło się, a nawet i pan Stefan Czarniecki wawrzyny zdobył pod temi samemi Parkanami, które były świadkiem sromotnej ucieczki Polaków. Kara Mustafa, dowiedziawszy się o zwycięstwie swoich, zaczynał już tryumfować, wysłał natychmiast nowe oddziały, aby ścigały armią chrześcijańską i do reszty ją rozgromiły. Tekeli ze swoimi Węgrami miał im także dopomagać. 9 Października, w sobotę, uszykował król Jan całe wojsko sprzymierzone do boju. Pomieszał oddziały polskie z niemieckimi, aby obudzić szlachetne współzawodnictwo, sam stanął na prawém skrzydle, lewem dowodził hetman Jabłonowski, środek zajął książe Lotaryński. Turcy wystąpili ogromną siłą, rzucili się zajadle najpierw na lewe skrzydło, ale go przełamać nie zdołali i wkrótce sami tak straszną ponieśli porażkę, że trzech paszów zginęło, a dwóch dostało się do niewoli.

Dumny pasza Sylistryi, gdy konia pod nim ubito, a czterdziestu wiernych sług, którzy go piersią własną zasłaniali, wymordowano, nie chciał oddać szabli żadnemu z szeregowców, uważał to za hańbę, gorszą od śmierci. Wtém ujrzał hetmana Jabłonowskiego i w ręce jego miecz swój złożył.

Turcy cofać się zaczęli do mostu, król Jan pomknął tam na czele swoich chorągwi, aby im odwrót zagrozić i most opanować. Wówczas rozpoczęła się rzeź straszliwa, zwycięzcy okrutnie się mścili za porażkę odniesioną przed dwoma dniami. Uciekające wojsko tłoczyło się na most, reszta rzucała się w rzekę, most się załamał, tłumy ludzi tonęły i ginęły pod nieustannym ogniem dział, na wybrzeżu także mordowano bez litości. Była to kłęska tak okropna, że dreszcz przejmuje, gdy się czyta szczegółowe jej opisy. Wódz naczelny, Karamechmet, zaledwie zdołał się uratować i umknąć do Granu. Z twierdzy téj przez cały czas walki grzmiały nieustannie działa, a kule przelatywały przez całą szerokość Dunaju i raziły chrześcijańskie wojska.

Zwycięzcy wpadli do Parkanów, a chociaż załoga przerażona wywiesiła białe chorągwie, nie dostrzeżono ich, lub nie chciano dostrzedz, i rzeź

nieustawała i tutaj. Turcy rzucili się zajadle do obrony, chrześcijanie, spłoszeni niespodziewanym oporem, już sromotnie cofać się zaczęli, gdy młodzieutki Franciszek de Mouilly, który niedawno z pazia na towarzysza usarskiego wyszedł, stanął w bramie z szablą w rękę i płazować począł uciekających. Udało mu się powstrzymać wszystkich i Parkany pozostały w rękę chrześcijan, załogę w pień wycięto.

Z tego strasznego pogromu zaledwie kilka tysięcy Turków zdołało się uratować i wejść do twierdzy. Stosy trupów zaściełały wybrzeże i łożysko Dunaju, a rzeka zarumieniła się od krwi. Na wieść o téj kłęsce, wezyr Kara Mustafa śpiesznie opuścił Budę i pociągnął do Belgradu. Lecz tam wkrótce zjawił się aga sułtański, przywiózł mu stryczek, głowa jego musiała opłacić poniesione kłęski. Dopiero po ukończeniu bitwy nadbiegł Tekeli z posiłkami, lecz umknął natychmiast. Utrzymywano, że się spóźnił umyślnie, nie chcąc walczyć z królem polskim, liczył bowiem na niego, że uprosi łaskę cesarską dla rokoszian węgierskich. I w rzeczy samej, król Jan sprzyjał Węgom i gdyby mógł, byłby im dopomógł. Ale niestety! cesarz austriacki teraz już wcale nie dbał o niego i na wstawienie się nie zważał.

Odpocząwszy nieco, zabrało się wojsko chrześcijańskie do zdobycia fortecy Strzygoni czyli Granu. Silne to było bardzo stanowisko, Turcy posiadali je od lat 140-tu i mieli tam swoje meczety wspaniałe. Przybyły tymczasem Niemcom znaczne posiłki, więc już wojska polskie nie potrzebowały dopomagać przy tém oblężeniu, tylko król zawsze dowództwo wzięł na siebie. Urządzono most na Dunaju, przepравиło się wojsko niemieckie, pod kierunkiem króla przystąpiło do ataku, oblężenie trwało dni trzy, poczem Turcy podali się królowi polskiemu, prosząc tylko o życie. Jeszcze tedy Jan III-ci przeprowadził z nimi układy, zatknął na nowo krzyż na starożytnéj katedrze, gdzie Ś-ty Wojciech chrzczył króla Stefana, a na której od półtora wieku tkwił półksiężyc turecki, i odśpiewał *Te Deum* w kapliczce na przedce poświęconej.

Już też po tylu zwycięstwach i bohaterskich czynach, czas było królowi do domu. Ruszył więc na górne Węgry, gdzie wyznaczono zimowe leże dla wojsk polskich, których część tylko z hetmanem Jabłonowskim powracała zaraz do kraju. Jeszcze i po drodze do domu król Jan mimochodem zdobył na Turkach małą forteczkę Szczecin, gdzie było aż dwa meczety.

Przechodząc przez górne Węgry, miały wojska polskie przykre bardzo przeprawy z rokoszaniem, którzy napadali na nie zupełnie, jak na wrogów.

Niemale to było zmartwienie dla króla, bo on żadnej krzywdy Węgrom nigdy nie wyrządził i najlepiej im życzył, a że nie mógł im u cesarza protekcją swoją dopomóc, to już nie jego była wina. Ale dla tego to właśnie wyznaczono tam dla wojsk polskich leże, cesarskim obmyślono wygodniejsze.

W Lubowni rozstał się król z wojskiem i po najgorszych drogach, wśród śnieżnych grudniowych zawiei, zdążył z synem do Starego Sącza, gdzie na nich czekała królowa. Razem ztąd ruszyli do Krakowa, w samą wigilią wjeżdżał król bohater do miasta przez tryumfalną bramę, witany radosnymi okrzykami i na Wawelu zasiadł dnia tego do uczty wigilijnej.

(d. n.).

DRZEWKO WIGILIOWE.

— Kaziu! wyrzyjno, czy ojciec nie wraca.

Na te słowa najstarszej z rodzeństwa siostrzyczki Jadwini, nie tylko Kazio, ale i Zosia i mały Janio pobiegli do okna, i pomimo panującą ulicach ciemności, którą rozświecały tylko pozapalane latarnie, przez szybę wyglądać zaczęli.

— Nie, nie widać nikogo — powiedziała Zosia, lecz zaledwo wymówiła te słowa, gdy w przedpokoju dał się słyszeć głos dzwonka, a równocześnie wszystkie dzieci wykrzyknęły radośnie: — Ojciec! ojczulek! biegnąc na wyścigi, aby drzwi otworzyć i wkrótce pan Nowiński, otoczony wesołą gromadką, wchodził do salonu.

— No cóż, moje dzieci — odezwał się ojciec — czyście już ustawiły choinkę?

— A jakże, ojczulku, a żeby ojciec wiedział, jak prześlicznie wyglądają na niej złoczone orzechy!

— A ozdoby z kolorowego papieru!

— A świeceki malowane!

Tak wołały jedne przed drugimi dzieci, prowadząc ojca do pokoju jadalnego, gdzie stało przystrojone drzewko choinkowe. Na środku pokoju znajdował się do wieczerzy nakryty stół, około którego krzątała się Jadwinia, z fartuszkim u pasa, z kluczykami w rękę, wyręczając matkę w urzędaniu zastawy.

Za wejściem pana Nowińskiego, żona spojrzała na niego z porozumieniem, on zaś skinął z uśmiechem głową, poczem pani Nowińska szepnęła kilka słów Jadwini, która pod rozmaitemi pozorami powyprawiała dzieci z pokoju; skoro zaś następnie dzieci powróciły do jadalni, spostrzegły, że puste poprzednio miejsce około choinki teraz założone było rozmaitemi paczkami mniejszych lub większych rozmiarów, a których przeznaczenie łatwo się dawało odgadnąć, napełniając serduszka dzieci nadzieją ładnych upominków.

Pierwsza gwiazdka weszła na niebie, nie podawano jednak wieczerzy, wyczekując widocznie na kogoś. Oczekiwanie nie trwało długo. Niebawem drzwi się otworzyły, a w pokoju ukazała się staruszka, w towarzystwie Jania i Zosi, dwojga najmłodszych dzieci państwa Nowińskich, które wyprzedzały babunię, prowadząc ją do stołu.

Na widok wchodzącej, pan Nowiński powstał ze swego miejsca, przysunął jej do stołu fotel, na którym usadowioną została z całą troskliwością przez panią Nowińską, Jadwinia podsunęła jej stołeczek pod nogi, poczem, po zwykłym przełamaniu się opłatkiem, każdy zajął swoje miejsce i rozpoczęła się wieczerza.

Dzień wigilii obchodzono zawsze radośnie w domu państwa Nowińskich. Po ukończeniu wieczerzy nastąpiło rozdanie podarunków z pod choinki, poczem cała rodzina przeszła do bawialnego pokoju, Jadwinia usiadła do fortepianu i zagrała kolendę, którą odśpiewano chórem, następnie wesoła rozmowa ciągnęła się długo w wieczór, tylko babunia powstała wcześniej ze swego fotelu, chcąc się udać na spoczynek.

— Obawiam się — wyrzekł pan Nowiński z troskliwością, zbliżając się do babuni — czy pani nie czuje się dziś bardziej znużoną; być może, że pani zaszkodziła dzisiejsza ranna bytność w kościele?

— Nie, mój kochany Kazimierzu — odrzekła staruszka z miłym uśmiechem — owszem, czuję się dziś bardzo dobrze, tylko na mnie już czas spocząć.

Dzieci pośpieszyły ucałować na dobranoc ręce babuni, która wspierając się na ramieniu pana Nowińskiego, opuściła pokój bawialny. Jadwinia ze świecą w rękę szła przodem, aby towarzyszyć babuni do jej pokojów i usłużyć jej, gdyby czego potrzebowała przed położeniem się do łóżka:

— Powiedz mi, mój drogi ojcze, dla czego ty do babuni mówisz *pani*? — zapytał Kazio, skoro pan Nowiński, po odprowadzeniu babuni do jej pokojów, powrócił, i zajął napowrót swoje miejsce przed kominkiem, na którym palił się suty ogień. — Mój znajomy Staś ma babunię i Julek także, ale ojciec jednego mówi do niej mamó, drugiego zaś ciociu, a ojczulek woła zawsze na naszą kochaną babunię *pani*.

— To dla tego, moje dziecko — odrzekł pan Nowiński, gładząc główkę Kazia, — że ta babunia, chociaż jest dla ojca waszego drogą, jak własna matka, nie jest jednakowoż złączona ze mną żadnym węzłem pokrewieństwa, któreby mnie upoważniało do nazywania jej tak, jak ojcowie Stasia i Julka ich babunię.

— Jakto, ojczulku — pytał Kazio z podziwie-

niem — więc nasza babunia nie jest wcale krewną dla ciebie?

— Powiedziałem ci już, mój chłopcze — odrzekł poważnie pan Nowiński, — że babunię czczę i kocham, jak matkę, ale istotnie nie łączy mnie z nią żadne pokrewieństwo.

— Ja tego jakoś nie mogę zrozumieć — dodał Kazio, kręcąc główką.

Pan Nowiński spojrział po dzieciach, których oczy, utkwione w twarz jego, wyrażały jednoznacznie zaciekawienie, oparł czoło na dłoni, a po chwili zadumy, tak się odezwał:

— Zamiast to długo tłumaczyć, moje dzieci, opowiem wam pewną powiastkę, a być może iż zrozumiecie to z łatwością, co wam się teraz tak niezrozumiałem wydaje. Cóż, chcecie posłuchać?

— Ależ chcemy! prosimy o to bardzo ojczulka — zawołały jednogłośnie wszystkie dzieci, przysuwając krzesła swoje, aby być jak najbliżej fotelu pana Nowińskiego i nie stracić ani słowa z opowiadania, na które aż im oczki błyskały z ciekawości. Jadwinia, która właśnie weszła, powracając od babuni, usiadła na niskim stołeczku przy nogach matki i kiedy całe gronko otoczyło w ten sposób ojca, ten, pomilczawszy chwilę, jak gdyby dla zebrania wspomnień, które przejmowały go widocznie silnym wzruszeniem, tak rozpoczął swoje opowiadanie:

— Działo się to dawno, bardzo dawno. Był to tak, jak dziś właśnie, dzień wigilii Bożego Narodzenia. W domu państwa S. obchodzono uroczyste tę pamiątkę, to też od samego rana zajmowano się przygotowaniem do wigilii. Państwo S. byli to zamożni obywatele ziemscy, którzy mając dobra wiejskie, zamieszkiwali jednak w Warszawie dla kształcenia swój jedynéj córki, a więcéj jeszcze z przyczyny jéj wątłego i delikatnego zdrowia, które wymagało ciągłej i umiejętnej opieki lekarskiej. Nie mając więcéj dzieci, kochali oni gorąco swą jedynaczkę, i nie pominęli żadnej sposobności, aby sprawić radość swój ukochanéj Jadwini. Więc też w ów pamiętny dzień wigilii strojna choinka i rozliczne podarunki zamówione były dla córeczki państwa S.

Ściemniało się na dworze; w przedpokoju odezwał się dzwonek: to chłopiec z cukierni przynosił strojną choinkę. Jadwinie jednak nie wzięła ochota nawet zajrzeć przeze drzwi do drugiego pokoju, aby zobaczyć prześliczne drzewko; od kilku chwil stała ona przy oknie i wyglądała szyć na ulicę, na twarzyczce jéj przytém odbijał się jakiś smutek i niepokój.

— Jadwiniu, moje dziecko, nie stój przy oknie, bo się zaziębić możesz — odezwała się pani S. wchodząc do pokoju.

Na głos matki, Jadwinia odwróciła głowę i zawołała z przejęciem:

— O! mamó, mamó kochana, spojrzno w ulicę. Widzisz? tam pod murem stoi chłopczyk z drzewkiem choinkowém. Patrz! jaki on biedny zziębnięty, drży cały; tak zimno, śnieg pada, a on ma na sobie tylko letni szpencerek. A przytém jaki smutny! może dla tego, że nikt nie chce kupić jego drzewka. Moja mamunieczko, każ go zawołać, niech się ogrzeje przy kominku, kupimy od niego to drzewko.

Prośba ukochanéj córeczki bezwzględnie wysłuchaną została, pani S. posłała służącą na dół i za chwilę wszedł do pokoju mały, może dwunastoletni chłopczyzna, bardzo biednie, ale czysto ubrany i nieśmiało powiódł okiem po obecnych.

— Zbliź się i ogrzej przy kominku, mój mały — odezwał się pan S. widząc, że biedny chłopczyzna drżał od zimna.

— Cóż to, masz drzewko do sprzedania? — odezwała się łagodnie pani S. chcąc go ośmielić rozmową.

— Tak, proszę pani — odrzekł cicho.

— Cóż chcesz za nie?

Chłopiec spuścił głowę na piersi i wyrzekł z wielkim pomieszaniem.

— Ja nie wiem... ja nigdy jeszcze nie sprzedawałem...

Pani S. sięgnęła do kieszeni i wydobywszy kilka złotych, wsunęła je w rękę chłopcu. Ten jéj postępek jednak sprawił skutek wprost przeciwny, aniżeli się spodziewać mogła. Chłopczyzna, ujrawszy dość stosunkowo znaczną sumę, co mogło mieć znaczenie jałmużny, poczerwieniał cały, cofnął rękę i spuszczaając powieki dla powstrzymania łez, które mu zabłysły w oczach, szepnął:

— To za dużo... mnie się tyle nie należy...

Państwo S. spojrzeli ze zdziwieniem po sobie, ale pan S. dając znak porozumienia żonie, zapytał z dobrotliwym uśmiechem.

— Więc ile sądzisz, że mógłbyś przyjąć?

Chłopiec podniósł wzrok na pytającego, jakby z obawą, czy z niego nie żartują, lecz widząc na twarzy pana S. i jego żony tylko wyraz dobroci i współczucia, wziął z ofiarowanych sobie pieniędzy dwie złotówki, a odsuwając resztę.

— Tyle wezmę, jeśli państwo pozwolą — wyrzekł. — Ja wiem, że i to jest za dużo, ale...

— Ale co, moje dziecko? — zapytała pani S. gdy chłopcu głos zadrżał, nie pozwalając mu dokończyć,

— Ale — mówił, przewyciężywszy się — tyle mi potrzeba na lekarstwo dla matki...

— To twoja mama jest chora, chłopczyku? —

zapytała z największym współczuciem Jadwinia, zbliżając się i ujmując go za rękę.

— O! chora, bardzo chora — odrzekł chłopiec i znów lzy zabłysły mu w oczach.

— To trzeba wezwać lekarza, żeby jęj co poradził.

— Był właśnie doktor i zapisał lekarstwo, ale... w domu u nas nie było pieniędzy... bo myśmy teraz bardzo biedni, więc ja chciałem coś zarobić... ale nie wiele mogę, bo jestem jeszcze bardzo mały i nic nie umiem...

— I dla tego to — odezwała się pani S. której łza rozczulenia potoczyła się po twarzy — znalazłeś się dziś na ulicy z choinkowem drzewkiem?

— Widziałem, że inni chłopcy sprzedawali drzewka i chciałem tak zrobić, jak oni.

— A gdzie twój ojciec? — zapytała Jadwinia, która, słuchając biednego chłopca, była blizką płaczu.

— Umarł już dawno. O! dopóki ojciec żył, było nam bardzo dobrze — mówił chłopczyzna, ozywając się pod wpływem dobroci dziewczynki — zamieszkiwaliśmy takie ładne pokoiki z obrazkami na ścianach, z frankami u okien; ja miałem śliczne książki, kajety i wzory do rysunków; miałem także nauczyciela, od którego pobierałem lekcye, ale ojciec umarł; my przenieśliśmy się tutaj do Warszawy, mama miała ciągle jakieś zmartwienia, bo zawsze płakała; mieszkaliśmy u złego gospodarza, który wpadał bez ustanku do naszej izdebki i groził mamie, że nas wyrzuci każe; wyprowadziliśmy się do innego domu na górę, pod sam strych, aż nakoniec mama teraz ciężko zachorowała.

— Miałeś dawniej, jak mówisz, nauczyciela? — wtrącił pan S. który uważnie słuchał opowiadania chłopca.

— Tak, proszę pana.

— A czy miałeś ochotę do nauki?

— A któżby też nie miał ochoty uczyć się? — odparł ze szczerością chłopczyzna.

— Powiedz mi, moje dziecko, jak się nazywasz i gdzie mieszkacie z matką?

Chłopiec wymienił swoje nazwisko, ulicę i numer mieszkania, poczem, ująwszy swoją czapkę, pożegnał nieśmiało państwa S. i postąpił ku drzwiom, co widząc mała Jadwinia zbliżyła się do matki i szepnęła jęj do ucha proszącym głosem:

— Moja mamunieczko! pozwól mi dać temu biednemu chłopczykowi moje skarbonkę z pieniędzmi; powiedziałaś, mameczko, żebym sobie ubierała na nową salopkę, ale ja wolę chodzić w tęj, co mam, a on niech użyje tych pieniędzy dla swojej chorėj matki. Czy pozwolisz, mamuniu?

Pani S. skinęła potwierdzająco głową, Jadwinia zniknęła z pokoju, a za chwilę wróciła z bla-

szaną skarbonką w rękę i zbliżywszy się do chłopczyka, wyrzekła prosząco prawie:

— Mój dobry chłopczyku, proszę cię bardzo, weź to odemnie dla twojej chorėj mamy, to na doktora i lekarstwo, a ja będę prosiła Pana Boga co dzień przy pacierzu, żeby prędzej odzyskała zdrowie.

Chłopiec nie odrzucił w ten sposób ofiarowanego sobie daru, ale przyjąwszy z rąk Jadwini skarbonkę, szepnęła ze łzami wdzięczności w oczach:

— Dziękuję paniencie.

Dar Jadwini, bardzo znaczny stosunkowo do smutnego położenia biednej wdowy z synkiem, był dla nich prawdziwym darem gwiazdki, wnosząc jej jaśniejszy promyk w ciemne poddasze, gdzie dotąd przebywały tylko choroba i niedola. Niedosć jednak na tém: pan S. zajął się pilnie losem biednej rodziny, zasięgnąwszy o nięj bliższych wiadomości, które całkowicie potwierdziły prawdę słów chłopczyzny, dowiedział się, że matka jego była wdową po zacnym i sumiennym urzędniku, którego śmierć niespodziewana przyprowadziła żonę i dziecko do takiego stanu niedoli. Odtąd, dzięki staraniom państwa S. biedna wdowa miała zapewnioną pomoc lekarską i wszelkie wygody.

A jednak niestety! żadne starania nie były w stanie powrócić jęj sił wycieńczonych poprzednią walką z nędzą i chorobą... umarła, mając przynajmniej tę słodką pociechę w sercu, że dziecko jęj zostało pod opieką zacnych ludzi...

Tu głos pana Nowińskiego zamilkł, stłumiony silnym wzruszeniem, potrzebował on kilku chwil, aby przyjsć do siebie, poczem tak mówił dalej:

Po śmierci matki, państwo S. zajęli się losem chłopczyka, oddali go do szkół i zapewnili mu wszelkie środki kształcenia aż do chwili, gdy sam o własnych siłach mógł dalej iść w świat i własną pracą torować sobie drogę. Przywiązali się zaś do niego tém więcej po stracie swęj ukochanej Jadwini, którą im Bóg zabrał niedługo potem; zdawało się im, że widzą przekazaną sobie opiekę nad tym chłopcem przez ukochane dziecko.

Po ukończeniu nauk, wychowanek ich, już wtedy idący o własnych siłach, udał się na jakiś czas za granicę, tymczasem przez czas bardzo długi nie miał od państwa S. żadnej wiadomości tak, że pełen niepokoju, pomimo wszelkich starań i odezw, nie mógł się nawet dowiedzieć, co się dzieje z jego dobroczyńcami.

Skoro mógł powrócić, najpierwszém jego staraniem było dowiedzieć się o losie państwa S. tém więcej, że niepokojące pogłoski dochodziły jego uszu. I jak się to zwykle dzieje, że złe daleko prędzej sprawdza się niż dobrze, rzeczywistość okazało się smutniejszą nad wszelkie pogłoski. Państwo

S. przeszli najgorsze koleje: stracili majątek, narażeni byli na znoszenie największego niedostatku, przemieszkawali przez jakiś czas w Warszawie, gdzie pan S. znękanym doznaniem zawodami, umarł, pozostawiając żonę bez żadnych środków, i tutaj to po wielkich staraniach udało się wychowan-kowi ją odszukać. Możecie zaś łatwo sobie wyobrazić, moje drogie dzieci, uczucia, jakich doznał ten chłopiec, a teraz już dorosły młodzieniec, odnajdując opiekunkę swą w nędznym zaułku, znoszącą największe ubóstwo. Przypadłszy do jej kolan, przez długi czas nie mógł wymówić słowa ze wzruszenia, równie jak sama pani S. która we łzach znalazła ulgę dla wszelkich uczuć, które jej w tej chwili przepełniały serce.

Czyż wam potrzebuję mówić, kochane dzieci, że odtąd jedynym staraniem owego młodzieńca było otoczyć opiekunkę swą wygodami i troskliwością, jaką syn dla matki mieć winien? Bóg zaś wynagrodził dobre chęci, błogosławił jego pracy, dał mu dom własny i rodzinę, dał mu znaną żonę i dobre dzieci, z pomiędzy których jeden chłopczyk, Kazio, jest czasami wielki ciekawski i chciałby dużo rzeczy wiedzieć, które do niego nie należą; ale jeżeli nad sobą popracuje i ciekawość swoją zwróci na właściwą drogę, to wada ta może się z łatwością w przymiot zamienić — dodał pan S. z uśmiechem.

— O mój Boże! — zawołały na raz wszystkie dzieci, uderzone jedną myślą — to owa pani S. to nasza babunia! a ten chłopczyk, co zarabiał na ulicy dla choréj matki, to ojciec!

— Tak, moje drogie dzieci — odparł pan Nowiński — i spodziewam się, że was to nie wstydzi, iż ojciec wasz był niegdyś owym biednym chłopcem, sprzedającym na ulicy choinkowe drzewko.

Dzieci rzuciły się wszystkie ku ojcu, tuliły się do niego, zawisły mu na szyi, Jadwinia zaś, przy-ciskając rękę ojcowską do ust, oblewała ją łzami wzruszenia.

— Złoty nasz, jedyny ojculek! droga babunia! hędziemy ją teraz jeszcze więcéj kochać! — wołały chórem.

— Ja tak już kocham babunię, że nie mogłabym więcéj, chociażbym chciała — odezwała się Jadwinia — ale jeżeli kiedy zdolnabym była uczuć się dumną, to chyba z tego tylko, że mam takiego ojca, jak nasz.

— Zawsze zaś, pamiętajcie o tém, drogie dzieci moje — odezwała się pani Nowińska — że Bóg nigdy nie pozostawia bez nagrody dobrego uczynku, i że najszlachetniejszym przymiotem człowieka jest: umieć czuć wdzięczność za doznane dobro-dziejstwo.

SZKOŁA DOŚWIADCZENIA.

Opowiadanie,
dla swoich siostrzeniczek
napisała
S. Wanda Janczewska.

(Dokończenie).

— Tak zaczęta rozmowa stała się powoli szersza ze strony Cesi, która skończyła na tém, że się wypowiedziała przed panem Strzemboszem ze wszystkich swoich zmartwień i kłopotów. Ten popatrzył przez chwilę na nią ze współczuciem, namyślił się, a potem rzekł:

— Rzeczywiście jest to trudno uczyć się saméj i korzyść ztąd nie taka, jaka mogłaby być w innym razie. Sprobuję na to trochę poradzić. Niewiele wprawdzie czasu mogę panience ofiarować, ale jeżeli chcesz, mogę codzień z godzinę ci poświęcić. Zaraz po obiedzie, kiedy Fredzio idzie na przechadzkę z panną Amelią, ja jestem wolny i mogę ci wtedy trochę pomódz w nauce. Przyjdź więc panienka zaraz od jutra z książkami do stołowego pokoju i tam mnie czekaj, wyegzaminuję cię i wskażę czego i jak masz się uczyć.

Cesia na chwilę oniemiała z radości, potem składając ręce, zawołała:

— Jako, pan byłbyś tak dobry! pan zechciałbyś mnie uczyć! Mój Boże, jakie szczęście! Czém ja się panu potrafię wywdzięczyć?

— Korzystając z nauki jaknajwięcéj — odparł pan Strzembosz z uśmiechem, — tymczasem do widzenia, bo już dla mnie czas na lekcye z Fredziem.

Nie potrzebujemy upewniać, że Cesia dobrze i pilnie się uczyła, każda lekcya z panem Strzemboszem wydawała jej się nowém dobrodziejstwem, które starała się spożytkować jaknajlepiéj.

Z leniwéj i próżniaczki stała się teraz bardzo czynną i pracowitą, bo nie chąc jeść cudzego chleba darmo, starała się być użyteczną i chętnie pomagała wszystkim w zajęciach domowych; mimo to jednak musiała znieść niejedną przykrość i upokorzenie, i zdarzało się nieraz, że ktoś niechętny ze służby, lub złośliwy Fredzio, dawał jej uczuć, że jest tu na łasce.

Bolało ją to bardzo, ale razem dodawało za-chęty i wytrwałości w powziętém postanowieniu, i gdy objawiła panu Strzemboszewi chęć zostania wiejską nauczycielką, ten pochwalił jej zamiar i stosownie do tego przygotował ją w naukach. A nawet, gdy po dwuletniéj wytrwałéj pracy, Cesia dostatecznie się już uzdolniła, postarał się o umieszczenie jej na jakiś czas u swego brata, profesora szkoły pedagogicznéj, gdzie mogłaby

złożyć egzamin i przygotować się praktycznie do pełnienia nowych obowiązków.

Wielkie było zadziwienie wszystkich w Wierzbini, gdy dowiedziano się, że Cesia dobrowolnie porzuca dostatek, z którego mogła korzystać, a natomiast chce się oddać uciążliwej i dającej bardzo skromny byt pracy. Pani Fiałkowska nawet, której młoda dziewczyna poszła z bijącym sercem podziękować za dotychczasową opiekę i prosić o pozwolenie wydalenia się z jej domu, czuła się tym dotkniętą i prawie obrażoną.

— Czyż ci tak źle było u nas, że chcesz Wierzbini porzucić? — spytała.

— O nie, pani, ale nie chcę nadal korzystać z łaski cudzej, mogąc na siebie pracować.

— Ale czyż ty naprawdę potrafisz pracować, czy jesteś dostatecznie do tego przygotowaną?

— Mam nadzieję, że potrafię, spróbuję — odparła Cesia z uśmiechem, — proszę tylko pani, żebyś mi za złe tego wiać nie chciała, że pragnę z domu jej się wydzielić.

— Któżby mógł ci brać za złe, moje dziecko — powiedział życzliwym głosem obecny temu pan Fiałkowski, że chcesz pracować i zdobyć sobie byt niezależny? To tylko pochwalić można i ja pierwszy szczerze ci winszuję dobrego pomysłu i serdecznie życzę powodzenia w nowym zawodzie.

Uściskał jej przytęm rękę, a ta pochwalała surowego, obojętnego, ale sprawiedliwego i rozumnego człowieka, była jej tak miłą, że pozwoliła zapomnieć o wyraźnym niezadowoleniu pani Fiałkowskiej, obrażonej, że Cesia gardzi, jak się wyraziła, jej dobrodziejstwami.

Z jak ciężkiem i niespokojnem sercem rzuciła pierwsze spojrzenie na wspaniały dwór w Wierzbini, tak teraz lekko i swobodnie żegnała go, dążąc w nieznaną przyszłość, która jednak posiadała dla niej urok nadziei zdobycia bytu własną pracą.

Profesor Strzembosz przyjął ją bardzo dobrze w swym domu, pani profesorowa polubiła ją jak córkę, tak ją Cesia potrafiła sobie zjednać swoją uprzejmością, pracowitością i usłużnością, a gdy po złożeniu doskonale egzaminu, młoda dziewczyna dowiedziała się, że może mieć wszelką pewność otrzymania posady w ciągu kilku miesięcy, nie posiadała się z radości.

— Jedź teraz, panno Cecylio, do matki na jakie parę tygodni — powiedział profesor, a potem wracaj do nas, gdzie przygotujesz się praktycznie pod moim okiem do nowego zawodu.

— Tak, jedź, kochanko, a nie baw tam zbyt długo, bo mi będzie tęskno do ciebie, powiedziała pani Strzemboszowa. Nie puścimy cię już, aż dostaniesz obiecaną posadę.

— Drodzy państwo, jakże dobrzy jesteście — zawołała Cesia zelzami — nie wiem doprawdy, jak potrafię się wam i zancnemu memu nauczycielowi wywdzięczyć.

— Ależ ty nam jesteś użyteczna i radabym nigdy się z tobą nie rozłączyć, gdybyś się na to zgodziła — rzekła profesorowa, — nigdy nie miałam tak ładnie uszytych czepek, ani tak dobrze wyprasowanych kołnierzyków,

jak przez ciebie.

Cesia pocałowała jej rękę i pobiegła radośnie na górę pakować swoje rzeczy w drogę do Warszawy. Gdy we dwa dni potem padła w objęcia stęsknionej matki i ścisła siostry, czuła się tak szczęśliwą, że z początku słowa przemówić nie mogła; ochłonawszy potem z pierwszego wzruszenia, rzekła:

— Przychodzę do ciebie, mateczko, jak syn marnotrawny; czy mi wszystkie moje błędy, wszystkie sprawione tobie zmartwienia przebaczasz?

— Już ci je dawno przebaczyłam, drogie dziecko moje, a teraz dziękuję tylko Bogu, że mi dał takie pocziwe dzieci.



Rycerska córka (str. 810).

Pani Rogowska słusznie córki swoje tak nazywała, nie tylko bowiem z Cesi miała pociechę, młodsze jej dziewczynki oddawna dawały jej tylko powody zadowolenia. Starsza Kazia była bardzo pracowitą i od kilku już miesięcy brała zapłatę w magazynie, gdzie pracowała, młodsza Mania tyle okazała zręczności w robocie kwiatów, a przytém była tak miłutka, że właścicielka tego zakładu od roku już wzięła ją do siebie ze wszystkiém, mając nadzieję, że z czasem dziewczynka stanie się pierwszą jej robotnicą, i jak to mówią, prawą ręką.

Gdy pierwsze wzruszenia radości minęły i Cesia rozejrzała się trochę w domowém otoczeniu, zauważyła z żywą przykrością, że matka jej bardzo podupadła na zdrowiu. Pani Rogowska nie przyznawała się do tego, ale Kazia wydała ją z sekretu.

— Mamie zajmowanie się pralnią szkodzi bardzo — rzekła — i doktor dawno kazał to porzucić, a nawet, jeżeli można, wyprowadzić się ze wszystkiém z Warszawy gdzie na wieś, na świeże powietrze.

— Ach, mameczko, czemuż ja dawno o tém nie wiedziałam, czemuż nie napisałaś mi nigdy tego! — zawołała Cesia z wyrzutem.

— Cóżbyś na to poradzić mogła, moje dziecko, a pocóż miałam cię z temi wiadomościami próżno martwić? Pralni porzucić nie mogłam, bo potrzebuję zarobić na utrzymanie własne, a i dziewczynki potrzebują jeszcze mojej pomocy.

— I mnie jeszcze od czasu do czasu przysyłałaś jakiś zasilek, — powiedziała Cesia, — ale teraz będzie inaczej. Stanowczo musisz swe dotychczasowe zajęcie porzucić, droga mamo.

— Stanowczo? — roześmiała się pani Rogowska, — widzę, że chcesz despotycznie wziąć mnie w swoją opiekę.

— Tak, mameczko, we wszystkiém, gdzie idzie o twe dobro, o twoje zdrowie — odpowiedziała córka, całując jej ręce serdecznie.

* * *

We cztery miesiące później objęła Cesia obowiązki nauczycielki w dużej osadzie fabrycznej Adamowie. Nie przyjechała tam jednak sama, towarzyszyła jej matka i Kazia, za wspólną bowiem zgodą postanowiły, aby pani Rogowska porzuciła dotychczasowe swe zajęcie i zamieszkała na wsi. Nie mogło być lepszój sposobności, jak pomieścić się przy Cesi i zajmując się wraz z Kazią szyciem, prowadzić wspólne gospodarstwo. Matka i córki były uszczęśliwione z tego planu, a gdy się przekonaly, że i wykonanie się udało, to jest, że przy wspólnej pracy wystarcza im na skromne i spokoj-

ne utrzymanie, dziękowały serdecznie Bogu za los swój.

Gdyby jednak nie Cesia, nie silna jej wola, którą sobie był zdobyła, toby nic z tego wszystkiego nie było. Pani Rogowska męczyłaby się przy zajęciu, które odbierało jej zdrowie, dopóki by go zupełnie nie odebrało, Kazia, pracując jak teraz, zarobiłaby połowę tego, co dzisiaj, robiąc na magazyn, nie na swoją rękę, a przedewszystkiém Cesia sama męczyłaby się tęsknotą, upokorzeniami i przymówkami w Wierzbinnie i zasiadając na aksamitnym krześle do cudzego stołu, w niedonoszonej przez panią Fiałkowską sukni, lękałaby może nie raz gorzkie łzy żalu do świata i siebie, zamiast roznoszonych przez lokajów przysmaków.

Trzeba ją było widzieć teraz, jak po całotygodniowej pracy, wróciwszy w niedzielę z kościoła w skromnej perkalowej sukience i słomianym kapeluszu, była wesołą, uśmiechniętą i zadowoloną, z jaką przyjemnością rozglądała się po małym i skromnym, lecz czystutkiém i własnym mieszkanku, a przedewszystkiém, z jaką radością witała krzątającą się przy nakrywaniu stołu matkę.

Bo też prawdziwe zadowolenie i spokój daje tylko wzajemne przywiązanie, umiarkowanie i praca.

RYCERSKA CÓRA.

— Wczoraj zjąłem twardą zbroję,
Jutro w nowy pójdę bój;
Zanuć piosnkę, dziewczę moje,
Umil srogi życia znój!

Wzięło dziewczę harfę złotą,
Złotostrunną harfę swą,
I poczęło ze szczerotą
Skargę, co ją pieśnią zwą.

— Pocóż dziś, gdy w srogie czasy,
Szwedzi palą miasta, wsie,
Tatar pali zamki, lasy,
Pocóż dziewkom rodzic się!

Gdyby n mężem się zrodziła,
Szlaby z tobą, ojczy, w świat,
Tobie cłlubą jabym była
I obrońcą siół i chat!

A zaś dziewczką wędnać muszę
W głębi tych obronnych wież,
Bezczynności znieść katusze,
Boże, od rozpaczy strzeż!

I załkała córa młoda,
Harfa jękkł srebrną łzą,
Uśmiechnął się wojewoda,
I uściskał córę swą:

— Nie płacz — rzecze — córo droga,
Każdy ma swój ciężar nieść,
Ty się za nas módl do Boga,
Tak pomożesz boje wieść.

A czy z boju wrócim do dom,
Lub nie wrócim wcale też,
Ty sierocym przoduj rodowi,
Rany opatrz, kochaj, wierz!

Brat twój niegdyś, córo mała,
Przepadł wśród tatarskich burz,
Tyś mi jedna pozostała,
Ty za niego ojcom służ.

M...a.

PAMIĘTNIK MŁODEJ DZIEWCZYNY,

z angielskiego.

(Dalszy ciąg).

O! ta jedna chwila wynagrodziła mi wszystkie cierpienia przebytą chorobą. Nie umiem wypowiedzieć uczucia, jakiego doznałam, zdawało mi się, że pierwszy raz w życiu zrozumiałam, co to jest szczęście. A więc braciszek kochał mnie jednak, teraz już nie wątpiłam o tym.

Byłam bardzo osłabiona, nie mogłam mówić dużo, oparłam głowę o poduszkę i wpatrywałam się w Janka z uśmiechem, a on trzymał mię za rękę tak mocno, jakgdyby się obawiał, żebym mu nie uciekła i szczebiotał z coraz większym ożywieniem. Słuchając tego szczebiotu dziecka, usnęłam i nie słyszałam już, jak odchodził, ale dowiedziałam się później, że Salomea nie łatwo go do tego namówiła.

Przebudziłam się z tym samym uczuciem niewysłowionej błogości, dziękowałam Bogu, że mi zachował życie, dziękowałam Mu i za tę chorobę, która mi przyniosła słodkie przeświadczenie o przywiązaniu braciszka. Salomea wprowadziła do mego pokoiku wuja Rubena, a i on także nie mógł leż powstrzymać, patrząc na mnie i powtarzając: „Dzięki Bogu! o, dzięki Bogu!” Jakże to miło być kochaną! Salomea przypomniła mu zaraz, że lekarz zalecał największy spokój i unikanie wszelkich wzruszeń. Musiałam z nią stoczyć walkę prawdziwą, gdy Janeczek zastukał znowu do drzwi moich, bo go wpuścić nie chciała. Ale przekonała się, że sprzeciwiając mi się, rozdrażni mnie tylko, co może więcej zaszkodzić od hałasu, i Janek rozkwaterował się u mnie na dobre ze swojemi zabawkami. Chodził na palcach, sprawiał się cichutko, jak myszka, ale co chwila zaglądał mi w oczy i pytał się, czy już zupełnie jestem zdrowa. Raz z własnej ochoty przyniósł elementarz i przeczytał bez zająknięcia historią o grzecznym Jó-

ziu. Zapytałam go, czy uczył się troszkę w czasie mojej choroby? odpowiedział, że Jania przychodziła codzień z nim czytać. Wiadomość ta nie sprawiła mi najmniejszej przykrości.

Pewnego popołudnia drzwi mego pokoju odchyliły się z cicha, ukazał się w nich najpierw przepyszny bukiet z róż i jaśminów, potem koszyk z malinami a nakoniec miła twarzyczka Jani. I ona także miała łzy w oczach, ściskając mnie. Widok mojej wychudłej, wynędzniałej twarzy, rozrzewniał każdego, kto się do mnie zbliżał.

— Jakżeś ty musiała cierpieć, biedna Emilciu — rzekła dobra Jania.

— O, tak, ale to już wszystko przeszło.

— Dzięki Bogu.

Zdało mi się, że baczniej jakoś na mnie spojrziała i spuściłam oczy; obawiałam się strasznie, aby kto się nie domyślił, co ja tam porabiałam sama jedna w kamieniołomach, ale wszyscy uwierzyli, że to był kaprys tylko i nic więcej... nikomu ani do głowy nie przyszedł amonit. I pocziwa Jania nie domyślała się niczego, darmo się tylko złąkla.

— Te kwiaty przysłała ci żona dziedzica — mówiła Jania — a maliny urwałam w ogródku pani Archer. Obie ci zasyłają ukłony.

— Dziękuję ci bardzo. Przepyszne kwiaty, a maliny tak smakowicie wyglądają. Jakże się ma pani Archer?

— Zmartwiona bardzo... — szepnęła Jania, a ja dopiero w tej chwili spostrzegłam, że i ona była bledziutka i smutna.

— Janiu, czy kapitan Archer powrócił? — zapytałam.

— Nie i żadnej o nim nie mamy wiadomości. Od rodziców otrzymałam już list z Australii, przybyli szczęśliwie na miejsce, ale o panu Henryku ani słycho, a miał być z powrotem przed dwoma tygodniami. Takie okropne burze szalały w tych czasach... — i biedaczka wstchnęła głęboko. Dobra, kochana Jania, tyle miała powodów do zmartwienia, a jednak pamiętała o mnie, przyniosła mi bukiet i maliny. I w tej chwili stanęły mi na myśli okrutne słowa, któremi owego pamiętnego dnia zakrwawiłam jej serce, i pierwszą może rozbudziłam trwogę. Janek zbliżył się z malinami i paluszkami swemi wkładał mi je w usta, ale nie mogłam ich przełknąć, dławiły mnie. W końcu, nie będąc w stanie się powstrzymać, rzuciłam się na szyję Jani i zawołałam:

— Przebacz mi, przebacz!

— Cóż ci mam przebaczyć, moja droga? — odrzekła i nie dała mi przyjsć do słowa, zagadując czém innem. Czy się domyśliła? nie wiem, nigdy mi tego poznać nie dała. Odtąd codziennie mnie

odwiedzała, starała się mnie rozrywać i bawić, panowała nad swoim smutkiem, nigdy już więcej nie wspominała o kapitanie, a i ja nie śmiałam pytać o niego; od Salomei tylko dowiedziałam się, że według powszechnego mniemania, nieszczęście jakieś musiało mu się wydarzyć, albo okręt jego zatonął, albo dostał się do niewoli rabusiów morskich turetańskich.

Z uwielbieniem patrzyłam na Janię, która umiała zgryzotę swoją znosić z anielską cierpliwością i poddaniem się woli Bożej. Zawsze z tym samym spokojnym uśmiechem wchodziła na próg mego pokoju, codziennie kazała Jankowi czytać i pisać przy sobie, bo ja jeszcze byłam bardzo osłabiona i ruszyć się z łóżka nie mogłam. Gdym ję mówiła, że niepotrzebnie się męczy, odpowiedziała ze słodyczą:

— To mnie nie męczy, owszem, potrzebuję ciąglego zajęcia.

Zrozumiałam nakoniec, że Jania szukała zajęcia, aby pokonać niepokój i smutek, a w późniejszym życiu nieraz przekonałam się i na sobie, jak praca wiele dopomóż może do znoszenia przeciwności.

Powoli, bardzo powoli przychodziłam do zdrowia, zaczęłam w końcu podnosić się z łóżka, chociaż jeszcze nie mogłam, ale Salomea ustawiła przy oknie otwartym stary fotel skórzany i usadowiła mnie na nim. Nigdy nie zapomnę, z jaką rozkoszą patrzyłam na niebo, na morze i skały nadbrzeżne, smutny ten krajobraz wydał mi się prześlizczony. Siedziałam tak przez kilka godzin i nie znudziłam się wcale. Ale dni następnych, w miarę, jak mi siły wracały, przykrzyć mi się zaczęło strasznie życie bezczynne. Janek znosił mi swoje zabawki, niektóre z nich zajmowały mnie naprawdę przed chorobą. A teraz sama nie wiedziałam, jak to się stało, czułam, że przestałam być dzieckiem, jakgdyby mi odrazu z dziesięć lat przybyło. Janek nie odstępował mnie prawie, a wesół jego głosik nigdy mi nie dokuczał. Ani razu nie usłyszałam dźwięku fortepianu, ale jakoś nie zastanawiałam się nad tym, dla czego braciszek mój nie brzdąkał.

Dnia pewnego chłopczyzna, znosząc mi różne moje dawne graciki, o które go prosiłam, znalazł pomiędzy niemi kajet z rysunkami. Na pensyi mówiono, że mam talent, a ja, o ile niecierpiałam gry na fortepianie, o tyle znów przepadałam za rysunkiem. Zaczęłam oglądać te próbki z wielką przyjemnością, pokazywałam je Jankowi, tłumacząc mu, który rysunek przedstawiał matronę rzymską, a który angielską wieśniaczkę, który znów był krajobrazem robionym z natury, a który z wzoru przerysowanym. Jego to nadzwyczajnie zajmowało.

Poprosiłam go wreszcie, żeby poszukał w moim kuferku, czy nie znajdują się ołówki, na szczęście znalazł się jeden, niezaczęty jeszcze, zatemperowałam go i zaczęłam rysować na czystej kartce kajetu. Wyrysowałam najpierw nos, potem ucho i usta, a nakoniec spojrzałam na braciszka:

— Janeczku — rzekłam — siądź tu przedmną i posiedź spokojnie chwileczkę tylko. Ja zrobię twój portrecik.

Podobało mu się to bardzo, siedział cichuteńko z pięć minut, a ja się żwawo zabrałam do roboty i sama nie wiem doprawdy, czy dla tego, że te rysy ukochane tkwiły mi ciągle w myśli, czy też naprawdę nie myłono się na pensyi, co do mego talentu, ale ten szkic był podobny. Do dziś zachowałam go w mej tece i poznaję w nim te rysy dziecinne, które w oczach moich tak się zmieniały z każdym rokiem.

— Pokaż, pokaż, siostrzyczko! — wołał chłopczyzna — jaki śliczny portrecik! ale dajno ołówek, ja sobie dorobię kapelusik z piórami... — i wyrwał mi papier, ja unosiłam go w górę, chcąc uratować moją pracę od zagłady, a w tej chwili Jania weszła do pokoju. Niosła, jak zawsze, piękny bukiet, uśmiechała się, ale smutek malował się na bladej jej twarzy. Powiedziała mi, że dziedzic i jego żona pytali się o mnie i kazali mi się kłaniać.

— Bardzo im jestem wdzięczna — rzekłam — wszyscy są tacy dobrzy dla mnie, a ty, Janiu, jesteś najlepsza. Zdejmno kapelusz, mam ci coś powiedzieć.

— Co, co? — odrzekła z mimowolnym niepokojem; biedna Jania i wyglądała wiadomości, i obawiała ję się zarazem.

— Chciałam ci pokazać portret Janka, który zrobiłam przed chwilą. Wszak prawda, że podobny? Ach, moja Janiu, mam prośbę do ciebie.

— Cóż takiego? zrobię wszystko, co zechcesz.

— Posiedź tylko spokojnie tak, jak teraz siedzisz.

Śliczna była Jania w tej chwili, nie mogłam pragnąć wdzięczniejszego modelu. Rysowałam z zapałem i zdawało mi się, że i teraz podobieństwo było widoczne. Janek tymczasem wybiegł z pokoju, a po chwili powrócił, wołając:

— Jakiś pan pyta się, czy Jania jest u nas. To marynarz, ja wiem, jak się ubierają marynarze; zdaje mi się, że go już gdzieś widziałem.

Ale Jania już nie słuchała, na pierwsze słowa wybiegła z pokoju, blada, przerażona, a i ja także drżałam z niepokoju, czy nie przynosił ten marynarz złych jakich wiadomości. Po chwili weszła Salomea.

— O, panienko — rzekła — co za szczęście!

kapitan Henryk Archer powrócił, nie zastał Jani u swojej matki i tu po nią przyszedł.

Rozpłakałam się z radości i dziękowałam Bogu, że Janię pocieszył.

XIV.

Dar wspaniały.

Matka i narzeczona kapitana nie darmo się tak o niego niepokoiły; chociaż za łaską Bożą powrócił zdrowy i cały, okręt jego rozbił się rzeczywiście, a on na szalupie się uratował i napotkał statek, który go odwiózł do kraju. Ten okręt rozbity stanowił cały majątek młodego kapitana, teraz nie miał nic i na nowo musiał rozpoczynać pracę, aby zapewnić przyszłej żonie utrzymanie. Ale Jania tak była szczęśliwa, że żył i powrócił, a matka jego także, żadna z nich nie myślała teraz o stratach majątkowych. Przez czas tak długi obawiały się daleko większego nieszczęścia, że dziękowały tylko Bogu za jego ocalenie.

Dobra Jania nie przestała mnie odwiedzać, a już nie potrzebowała się zmuszać do wesołości. Dnia pewnego (pamiętny to był dzień dla mnie, stanowiący o całej mojej przyszłości), przyniosła mi, oprócz kwiatów, inny jeszcze dar, nie od siebie, ale od żony dziedzica, która odwiedzała mnie parę razy, od kiedy lekarz pozwolił mi mówić i gości przyjmować. Teraz przysłała mi przez Janię kilka przeslicznych książek w ozdobnej oprawie i prosiła, abym je przyjęła od niej na pamiątkę. Były to najpierw dzieła dramatyczne Szekspira. Czytałam na pensyi wyjątki z tych dzieł i zachwycałam się nimi. Potém Iliada Homera z przepysznyemi ilustracyami Flaxmana *). Gdy otworzyłam tę książkę, w oczach mi się zaćmiło, nigdy jeszcze w życiu nie widziałam takich rysunków.

— Ciesz się teraz swojemi skarbami — rzekła Jania z uśmiechem, -- a ty, Janeczku, chodź ze mną, kapitan czeka na nas, pójdziemy na przechadzkę.

Dwie godziny przeleciały mi, jak jedna chwila. Patrzałam, wpatrywałam się w te arcydzieła i wtenczas poraz pierwszy uczułam, że urodziłam się na artystkę. Od tego dnia zabrałam się do rysunku z gorliwością i zapałem. Kopiowałam wspaniałe ilustracje Flaxmana, były to kopie bardzo nieudolne, i w końcu uprzykrzyło mi się naśladować ciągle niewolniczo te wzory, raz po raz szkicować postać Achillesa, lub Hektora, Jowisza i Minerwy, zaczęłam więc własne pomysły tworzyć, wzięłam się z młodzieńczym zuchwalstwem do ilustrowania Szekspira. Ach! gdyby jaki zna-

wca był zobaczył moje Ofelie i Desdemony, zgorzyszyłby się był pewnie szaleństwem biednej dziewczyny. Ale to zajęcie mnie tak uszczęśliwiało! Dziś jeszcze nie mogę sobie darować mego samolubstwa. Siedząc po całych dniach nad temi rysunkami, nie pomyślałam nigdy o tém, dla czego nie słyhać było w domu fortepianu?

Nieraz jednak spostrzegłam wyraz smutku lub znudzenia na twarzyczce Janka, jakgdyby mu czegoś brakowało. Pytałam go, co mu jest, ale zbywał mię ni tém ni owém, nie skarżył się nigdy, taki był teraz spokojny, łagodny, posłuszny. Domyślałam się, że to Jania taki dobroczynny wpływ na niego wywarła i serdecznie jej wdzięczną byłam za to.

Dnia pewnego, w Sierpniu, w czasie żniw, siedziałam przy otwartém oknie, Janek przyniósł mi właśnie przed chwilą bukietik bławatków, gdy żona dziedzica przysłała mnie odwiedzić. Wielkie to było święto dla mnie, ile razy ta zacna pani przychodziła. Tym razem zapowiedziała, że zostanie na cały wieczór, przyprowadziła nawet z sobą najmłodszą córeczkę, która nie lubiła zostawać w domu bez mamusi. Nadeszła także Jania, rozmowa stała się niezmiernie ożywiona. Ja się czułam tak zdrową, że już chciałam koniecznie zejść na dół, chociaż nie mogłam jeszcze chodzić o własnych siłach.

(D. n.).

SZARADA (Azet).

*Pierwsze drugie owoce,
Otwór trzecie-czwarte;
Wszystko w mowie, w piśmie,
Wcale nic nie warte;
Ale jednak było
Słynne swego czasu,
Leżąc przy Werbani,
Ujściu do Werbasu,
Pod górą Osmaczem,
Gdzie chrześcijan niewiele;
Głośne także niegdyś
W Morsztynowém dziele.*

Łamigłówka w kwadraciku łacińska.

(Łamigłówka ta pochodzi z odległej starożytności, ułożona była przez dowcipnego Rzynianina. Podajemy ją dla czytelników, uczących się po łacinie). W kwadraciku z 25 podziałek ułożyć: 4 A — 4 E — 4 O — 1 N — 2 P — 4 R — 2 S — 4 T — aby odczytać na wszystkich czterech stronach, to jest w kierunku poziomym i pionowym, sposobem zwykłym i na odwrót, zdanie łacińskie następujące: Rolnik (imienia rolnika nie wymieniamy) trzyma starannie pług.

*) Znakomity rzeźbiarz i rysownik angielski.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 49-go.

Łamigłównki geograficznój:

Rodan, Duero, Ren, Nida, Don, Nera.

Łamigłównki liczbowój:

Siemiradzki.

Era

Iza

Zamek

Iskra

Rzeki

Dziki

Dar

Rak

Sem

Kra

Odpowiedzi od Redakcyi.

Adasiowi Cz. w Lecieszynie. Liściki taką piękną kaligrafią pisane zawsze z upodobaniem odczytujemy. Łamigłównki będą drukowane, równie jak i zadanie konikowe i prosimy o stałe współpracownictwo, a zarazem i o cierpliwość, bo zagadki, nawet i najlepsze, muszą czekać kolei.

J. K. Otrzymałmy kilka bardzo dobrych łamigłówek z tym podpisem, serdecznie dziękujemy.

Maryni R. w Nowosiółkaoh. Łamigłównkę, dobrze ułożoną i starannie napisaną, chętnie zamieścimy w Piśmie. Cieszymy się, że powiastka „Szkoła Doświadczenia“ tak się podobała. Takie opowiadania, z rzeczywistego życia czerpane, kształcąc umysł i serce, dużo pożytku przynieść mogą czytelnikom.

Stasi K. w Meranie. Liścik bardzo porządnie i ładnie napisany i radzibyśmy częściej podobne odbierać z wiadomościami szczegółowemi, jak też tam kochanej naszej czytelniczce czas na obczyźnie upływa. Wysłaliśmy „Wieczory“ od początku kwartału, czyżby tylko dwa N-ra doszły? Może paczka zaległa na poczcie, prosimy się o nią upomnieć.

Tadziowi Z. w Warszawie. Rozwiązania łamigłówek trafne, ale żalowaliśmy, że nic więcej nie było w liściku i wyglądamy drugiego, dłuższego troszkę.

Kasi Z w Mińsku. Śliczne, własnoręczne robotki, któreśmy otrzymali, będą dla nas bardzo miłą pamiątką i najserdeczniej za nie dziękujemy trzem kochanym dziewczątkom. Mamie odpowiedzieliśmy szczegółowo przez pocztę, zapewne list odebrała. Łamigłównki najlepiej układać podług wzorów, w Piśmie zamieszczanych, a nie uważać, jeśli się nie uda odrazu, tylko próbować dalej, wcale to nie jest rzecz tak trudna, jak się zdaje z początku. Tłómaczeń z obcych języków podajemy bardzo niewiele w Wiecz. Rodz. i to wyłącznie prawie z angielskiego, mamy też stałych współpracowników w tym dziale. Wielką to nam sprawiło przyjemność, że się kochani czytelnicy upominają o pogadanki naukowe, które jedynie dla braku miejsca obecnie są przerwane. Chcieliśmy koniecznie dokończyć przed Nowym Rokiem kilka dłuższych opowiadań i dla

tęgo niektóre działy musiały być zaniedbane, co wszakże będziemy się starali w następnym roku wynagrodzić.

Pani Z. Ż. W jednym z ostatnich N-rów naszego Pisma była właśnie odezwa, o jakiej Pani wspomina; przysłane dwa ruble otrzymałmy i odłożyłmy je wraz z innymi datkami dla biednej wdowy, obciążonej liczną rodziną.

Alicze Ś. w Markowcu. Za trzy złote przesłane dla biednej wdowy serdecznie w jej imieniu dziękujemy, od siebie zaś przypominamy, że wszystkie dawniejsze łamigłównki już wydrukowane i wyglądamy innych, które mogą być układane według nowych wzorów, podawanych w Piśmie.

Pani Maryi S. w Kuźmińcyku. Wszystkie żądane książki i zabawki wysłałmy przez księgarnię pp. Gebethnera i Wolffa. Z nadesłanych na to pieniędzy, po zaliczeniu całorocznej prenumeraty, pozostało jeszcze kop. 70, a z roku zeszłego 45. Obie te kwoty, są do rozporządzenia Pani w naszej redakcyi.

Maryni w Mińsku gubernialnym. Dziełko ks. Hołowińskiego „Dzieciątka Jezus“ zupełnie jest wyczerpane w handlu księgarskim i dostać go nie można w Warszawie. Antologia obcych poetów kosztuje 5 rs. jest to bardzo piękne i staranne wydanie, przeznaczone dla dorosłych czytelników. Encyklopedya większa Orgelbranda, w handlu wyczerpana, może być z wolnej ręki nabyta, ale bardzo drogo, kosztuje około 100 rs. Mniejsza, w 12 tomach, kosztuje rs. 15. Utwory znakomitych naszych poetów będziemy i w dalszym ciągu podawali w Piśmie naszym i bardzo radzi jesteśmy, że czytelnicy się o nie upominają.

SPIS KSIĄŻEK,

które prenumeratory **Wieczorów Rodzinnych** nabywać mogą za pośrednictwem redakcyi po cenie zniżonej.

Wydawnictwa p. Maurycego Orgelbranda.

Dzieduszycka Anastazyja. Jak sobie dziatwa radziła. Opowiadanie dla młodzieży od lat 9 do 12 w opr. wie kartonowanej. Cena katalogowa rs. 1 zniż. na 75 kop.

„ Z dziedziny przyrody, przekład z Carey'a z dwiema rycinami, w opr. kart. cena kat. 70 kop. zniż. na 50 kop.

„ Szary dom, powieść dla młodzieży, przekład z ang. Greene'a cena kat. kop. 50 zniż. na 35.

Czepliński Fl. Sława, opowiadania z historyi starożytniej dla młodego wieku, ozdobione licznymi wizerunkami, w opr. kart. cena kat. rs. 1 20 zniż. na 90 kop.

Hoffmanowa Kl. Powieści z Pisma Świętego cena kat. 1, 50 zniż. 1 rs.

Izdebska Wł. Praca bogactwem, powieść dla dorastającej młodzieży, w opr. kart. rs. 1 zniż. 75 kop.

Teresa Jadwiga. Ze świata rzeczywistości i ze świata marzeń, 5 powieści dla dzieci z 5 rycinami w opr. kart. cena kat 1, 20 zniż. 90 kop.

Zajączkowska Z. Trzy powieści dla dzieci z 6 rycinami w opr. kart. cena kat. 1, 20 zniż 90 k.

A. S. Powieści dla młodego wieku cena kat. 1 zniżona 75. toż samo z rycinami ceną kat. 1, 50 zniż. 1, 20.

Duch opiekuńczy, czyli dziennik dziecinny 2 tomy cena kat. 1 80 zniż. 75 kop.

Wydawnictwa pp. Gebethnera i Wolffa.

Izdebska. Pamiętnik Babuni z ryciną, cena kat. rs. 1 kop. 20, zniż. 80 kop.

E. Lejowa. Fantazja i prawda, powieści z rycinami kolorowemi cena kat. rs. 1 zniż. 65 kop.

Chęciński. Powiastki przełożone z francuzkiego z rycinami cen. kat rs. 1 zniż. 65.

Przyborowski. Baśni ludowe z rycinami kolorowemi cena kat. 1, 50 zniż. 1.

Grzeczne dziewczynki przekład z francuzkiego z licznymi rycinami cen. kat. 1, 20, zniż. 80 kop.

Sekrecik białego dworku przekład z angielskiego z ryciną cen. kat. 1, 20 zniż. 80 kop.

Zaleska. Obraz świata roślinnego z licznymi rycinami cen. kat. 2, 25 zniż. 1, 50.

Wydawnictwa p. Hösick'a.

CUDA NAD CUDAMI 5 komedyi czarodziejskich dla małych dzieci z kolorowanemi rycinami wydanie 2-ie tańsze cena kart. rs. 3, zniż. rs. 2, 25.

Cuda nad cudami. Czarodziejsko-pantomiczny teatrzyk w ruchomych przemianach i przeslicznych kolorowych obrazkach dla grzecznych dzieci. Ozdobnie kartonowane, cen. kart. Sinobrody rs. 1. Kot w butach rs. 1. Piękna księżniczka w uśpionym lesie rs. 1. Aladyn czyli Cudowna Lampa rs. 1. Kopciuszek rs. 1 zniż. każda po kop. 75.

Ziarnka mądrości Ezopa, w bajeczkach i wierszykach, oraz przeslicznych obrazkach kolorowych na tle złotem. Dla małych dzieci. Z kolorową okładką, cena kart. rs. 1 zniż. 75 kop.

Don-Kiszot'a z Manszy przygody, podróże i wielkie czyny. Ku uciechu i zabawie małych dzieci, z wielkimi kolorowanemi rycinami i kolorową okładką. cena kop. 50 zniż. 37 1/2.

Bieda z nędzą. Baśń ludowa, opracowana dla młodzieży przez K. Wł. Wojcickiego, z przeslicznymi rycinami kolorowemi (chromolitografiami) Wł. Szymanowskiego z ozdobną okładką kartonowaną cena rs. 1, 20. zniż. kop. 90.

Pan Twardowski. Podanie ludowe według klehdy K. Wł. Wójcickiego dla małych dzieci opracowane, z pysznymi kolorowanemi ilustracyjami (oleodrukami) Wład. Szymanowskiego. Ozdobnie kartonowane, z kolorową ryciną na tytule. Cena rs. 1 kop. 20 kop. 90.

Rozrywki na dni świąteczne. Powiastki, komedyjka i przypowieści moralne dla młodzieży, przez Z. Kaplińską. Cena w ozdobnej oprawie rs. 1, 20 bez oprawy kop. 75, kartonowane rs. 1 zniż. w oprawie kop. 90. kartonowane kop. 75 bez oprawy kop. 57.

Powieści z Pisma Świętego. Wierszem dla dzieci opowiedziane przez Jana z Rzeszowa z wielo-

ma ryc. dużym wyraźnym drukiem. W ozdobnej opr. kop. 75 zniż. kop. 57.

Przechadzki ojca z dziećmi, po polu, łąkach, lesie i ogrodzie, czyli świat roślinny w powieściach, rozmowach i opowiadaniach, przez Emilją Lejową. Cena w ozdobnej opr. rs. 2. w opr. zwyczaj. rs. 1, 50, bez opr. rs. 1, 35 zniż. w ozd. oprawie rs. 1, 50 w zwyczaj. rs. 1, 12 bez oprawy rs. 1.

Pamiętnik Laury. Upominek babuni dla swjej dorastającej wnuczki, przez Felicyą Szymanowską. Z rycinami. Cena w ozdobnej oprawie, z bogatymi wyciskami i złoceniami rs. 2, w opr. zwyczaj. rs. 1, 50, bez opr. rs. 1, 35 zniż. w ozd. opr. rs. 1, 50 w zwyczaj. opr. rs. 1, 12 bez opr. rs. 1.

Mali Mężczyźni. Powieść pani Alcott, z angielskiego. Cena w oprawie rs. 1 bez opr. 75 zniż. w opr. 75 bez oprawy 57.

Za przesyłkę pocztą dolicza się po kop. 10 do każdego rubla wartości książek.

OD REDAKCYI.

Wieczory Rodzinne w roku następnym wychodzić będą pod tym samym kierunkiem i na dotychczasowych warunkach. Przygotowaliśmy dla czytelników naszych między innymi następujące utwory: Michaliny Zielińskiej (M—a) **Duch Zamczyska**, powieść z czasów dawniejszych — **Gawędy podśluchane u niemnowej fali.** — **Skarbiec pamiątek ojczystych**, zbiór podań i legend dawnych. **Teresy Jadwigi Papi: Pamiętne Chwile.** — **M. J. Zaleskiej: Tajemnica Rodzinna**, powieść z górkarpackich — **Dwie siostry**, opowiadanie z dziejów wynalazków — **Różnych autorów: Obrazki z dziejów starożytnych** — **Księga pamiętnych czynów**, przykłady z życia ludzi zasłużonych, z dawniejszych i nowszych czasów czerpane. — **Wędrowki młodego chłopca po kraju rodzinnym.** — **Nowy szereg pogadanek o literaturze i znakomitych pisarzach polskich.** — **Dwanaście zagadek historycznych i geograficznych z nagrodami**, co miesiąc będzie zamieszczana taka zagadka, nagrodę stanowi książka w ozdobnej oprawie.

Upraszamy o wczesne nadsyłanie prenumeraty wprost pod adresem redakcyi:

Mazowiecka Nr. 8.

Kolenda. — W żłobie leży.

NUTA Z UST LUDU PODOLSKIEGO SPISANA I NA FORTEPIAN UŁOŻONA

przez Dominika St. Pawłowskiego.

Maestoso.

W żło - bie le - ży, któż po - bie-ży Ko - len - do - wać ma - ła - mu Je - zu - so - wi

Chry - stu - so - wi Dziś nam na - ro - dzo - ne mu. Pieśń Mu daj - cie, pa - stu - szko - wie.

Nie - ście da - ry, Trzej Kró - lo - wie Ja - ko Pa - nu na - sze - mu.

I my z niemi, pieśni swemi
Chwalmy Pana w miłości:
Że świat zbawić, moc Swą wślawić
Zszedł na ziemskie nizkości.
Dzieciątko święte witajmy,
Z aniołami Mu śpiewajmy
Chwała na wysokości!

Choć w ubóstwo przybrał Bóstwo
W czas taki uroczysty,
My poznajmy, cześć Mu dajmy
Pan to Bóg nasz wieczysty,
Jakić radości doznajem,
Jezusowi pokłon dajem,
I Maryi przeczystej.

Panno święta proś, rączęta
Niech się Synka miłego
Do tych zwróć, którzy nuć
Pieśni ku chwale Jego.
Niech się raczy w nas urodzić,
Łaską od grzechów odwoźdź
Wieść nas do Raju swego.

WIECZORY RODZINNE

DLA MAŁYCH DZIECI.



GWIAZDKA.

O gwiazdeczko srebrno-biała,
Która cieszysz światy,
Obyś nigdy nie mijała
Żadnej w świecie chaty;
Radość wszystkim nieś dziateczkom,
Pod wszelaką strzechę,
Wszystkim ojcom i mateczkom
Z dziatczek pociechę.

M...a.

Kolenda Zosi i Kazia.

— Kaziu, Kaziu, co za radość, co za radość — wołała, klaszcząc w ręce, ośmioletnia Zosia, a złapawszy wpół czteroletniego braciszka, okręcała się z nim po pokoju.

— Zosiu, daj pokój, bo mi się już w głowie kręci.

— To nic nie szkodzi, jak ja ci coś po-

wiem, to ci się jeszcze bardziej z radości w głowie zakręci — rzekła, puszczając braciszka, zmęczona skakaniem dziewczynka.

— A co takiego?

— To ty nic nie wiesz, mój malutki? Oto Babcia napisała długi list do Mamy i prosiła, żebyśmy wszyscy przyjechali na święta Bożego Narodzenia do Warszawy. Ale to wszyscy: Mama, Tatko, ty, ja, a nawet maluchna Wandzia z niańką.

A w przystępie radości Zosia pobiegła do najmłodszej siostrzyczki, będącej u niańki na rękę i zaczęła jej opowiadać:

— Wandziuchna caca, pojedziemy do Warszawy, do Babci, do Dziadzi, do Cioci; o! tam nie jedna jest Ciocia!

A Wandzia, klaszcząc w rączki, powtarzała:

— Baby, diadi, cioci! — co jeszcze w większą radość wprowadzało Zosię i Kazia.

— Ale z kąd ty wiesz, Zosiu, że pojedziemy? — zapytał po chwili Kazio.

— Paradny jesteś, zkąd wiem? przecież umiem czytać pisane, a nawet i małe literki. Otóż Mama zawołała mnie dzisiaj i kazała przeczytać list, w którym Babcia bardzo prosi, żebyśmy wszyscy przyjechali, i powiada, że gdybyśmy nie przyjechali, toby Babci i Dziadzi bardzo było smutno. Aha, a widzisz!

— Ale czy Mama nas weźmie?

— Weźmie, weźmie, zobaczysz, mój Kaziu; bo ja zaraz zaczęłam Mamę ścisnąć i całować, a Mama powiedziała, że jeżeli tylko będziemy grzeczni, to z pewnością wszyscy pojedziemy.

— O, to ja będę grzeczny!

— O, i ja także! — I znowu Zosia objąwszy braciszka zaczęła z nim skakać po pokoju i oboje serdecznie się cieszyli.

Zosia już kilka razy była w Warszawie, ale Kazio jeszcze nigdy żadnego miasta nie widział, a cóż dopiero takiego, jak Warszawa, przytém bardzo kochał Babcię i Dziadzię, pragnął więc jaknajprędzej ich zobaczyć. To też co dzień pytał Mamy, ile to dni jeszcze do Bożego Narodzenia.

— Nie nudź tak ciągle Mamy — mówiła pocichu Zosia — bo jeszcze Mama się pogniewa i zostawi nas w domu.

— Ale bo, moja Zosiu, ja takbym chciał już jak najprędzej jechać. A czy tam będzie choinka, taka, jak u nas kiedyś była?

— Oho, będzie jeszcze piękniejsza. Zobaczysz! Ciocie tam pewnie ustroją prześliczną choinkę, a Dziadzio i Babcia z pewnością dadzą nam piękną kolendę.

— Ach, jak to będzie ładnie! w Warszawie choinka! i kolenda! — powtarzał Kazio i z coraz większą niecierpliwością oczekiwał wyjazdu. Nareszcie jednego dnia bardzo raniutko wszystkie dzieci wraz z rodzicami wyjechały do stacyi kolei żelaznej, a wsiadłszy do wagonu, w kilka godzin potém stanęły w Warszawie, gdzie ich Babcia i Dziadzio serdecznie powitali.

Na drugi dzień, a było to w samą wigilią Bożego Narodzenia, Dziadzio dał Zosi i Kaziovi po trzy ruble i powiedział, żeby sobie jakie zabawki na kolendę kupili. Dzieci uradowane, że będą mogły same robić sprawunki i zobaczą dużo pięknych rzeczy, ucałowały rączki Dziadzi i ubrawszy się w ciepłe płaszczyki, uprosiły Mamę, aby je zaprowadziła do sklepu. Było tam tak dużo zabawek, że nietylko Kazio, ale nawet Zosia nigdy jeszcze w życiu tylu pięknych rzeczy nie widziała. To też oczy im się śmiały, i sami nie wie-

dzieli, co wybierać. Kazio miał ochotę na welocyped, ale mu ta pani, co sprzedawała zabawki, powiedziała, że welocyped kosztuje dziesięć rubli.

— Tak? a ja mam tylko trzy ruble, to dużo mniej od dziesięciu — rzekł ze smutkiem Kazio, bo już umiał trochę rachować.

— A czy za trzy ruble niema welocypedu? — zapytał po chwili.

— Niema — odpowiedziała sklepowa — ale może się paniczowi co innego podoba, i poprosiła Kazia w głąb sklepu, wskazując małe powoziki, konie, fuzyki i bardzo wiele pięknych rzeczy, ale wszystko, co się najbardziej Kaziovi podobało, daleko więcej kosztowało, niż trzy ruble.

Zosia znów ze swęj strony przypatrywała się wszystkiemu; nęciła ją bardzo piękna toaleta dla lalki, to znów wielką miała ochotę na zastawę do herbaty. Mama zaś nic a nic nie chciała dzieciom doradzać, tylko ciekawie patrzyła, co które wybierze.

Kiedy tak ani Kazio, ani Zosia nie mogąc się zdecydować, coby kupić za darowane od Dziadzi pieniądze, do sklepu weszło znów dwoje dzieci, ale jak one różniły się od naszych znajomych! Chłopczyk może był większy od Kazia, ale skulony drżał cały, bo na dworze było zimno, a on miał ubranie bardzo podarte, nogi pookręcane jakimiś gałganami, zamiast ciepłych bucików. Dziewczynka znów miała wprawdzie buciki i chusteczkę, ale z bucików wychodziły opuchłe od zimna palce, a chusteczka tak była podarta, że napróżno siliła się zgarnąć wszystkie jej strzępy, aby owinąć zsińnięte rączkęta.

— Mamuniu, czego chcą te dzieci? — zapytał Kazio, który jeszcze nigdy takich biednych dzieci nie widział.

— Przyszli po prośbie, mój synu, widzisz, jak drżą od zimna. Biedactwa! — dodała dobra Mama z westchnieniem, i sięgnęła do kieszeni, aby ich czemkolwiek obdarzyć.

— Zosiu — rzekł Kazio cichutko, pociągając za rękaw siostrzyczkę. — Patrz, to tu w Warszawie są takie biedne dzieci, co nie mają czém się okryć!

Zosia tymczasem, od chwili wejścia owych dzieci, zupełnie zapomniała o toalecie dla lalki, i o tych wszystkich pięknych rzeczach, które ją przed chwilą nęciły, a wpatrywała się zażalionemi oczyma w drżące od zimna dziecińcy.

— Mamo, ja już nic nie chcę — i odsunęła się od rozstawionych zabawek.

— A to czemu, moja Zosiu?

— Tym dzieciom tak zimno...

— Więc cóż ztąd? — pytała matka uśmiechając się.

— Ja im dam te trzy ruble, co dostałam od Dziadzi.—I tomówiąc chciała zaraz oddać pieniądze.

— Tak niemożna — rzekła wstrzymując ją Matka.

— A to czemu, Matuniu?

— Bo swoim datkiem niewiele zrobiłabyś dobrego. Te dzieci nigdy zapewne nie miały tak dużo pieniędzy i nie wiedziałyby, co z nimi zrobić. Poczekaj chwileczkę, niech Kazio zapłaci swoje zabawki, a inaczej zrobimy. No, spiesz się, Kaziu — dodała.

— Zosiu, czy za trzy ruble można kupić jaką ciepłą sukienkę? — rzekł chłopczyk po cichu do siostry.

— Można, kochany mój Kaziu — i Zosia pocałowała braciszka, a on szepnął znowu.

— Mamuniu, ja nie kupię tych zabawek.

— Jak chcesz, mój synu — rzekła matka, spojrzawszy z zadowoleniem na Kazia i Zosię a wyszedłszy na ulicę, zawołała za sobą biedne dzieci, stojące ciągle w kąciku.

Dowiedziawszy się od nich, że mają bardzo chorą matkę, która oddawna już nie wstaje, zapisała sobie jój nazwisko i mieszkanie, dała biednym dzieciom po parę groszy, aby sobie po drodze kupiły chleba, i kazała pośpieszać do chorėj matki, a w końcu obiecała, że tam niedługo przyjdzie za nimi.

— Mamuniu, czemu Mamunia nie pozwoliła mi dać tym dzieciom pieniędzy? one takie biedne.

— A czyby te dzieci okryły się pieniędzmi, którebyś im dała, moja Zosiu?

— A to cóż zrobimy, Mamuniu?

— A pewnie pójdziemy szukać innych zabawek dla Kazia, kiedy mu się tutaj nie podobają.

— O Mamuniu, ja już nie chcę zabawek, ja swoje trzy ruble chciałem oddać tym dzieciom, a Mama kazała im odejść.

— Prześlicznie, mój synu, podążymy za nimi, ale najpierw, jeżeli chcecie zrobić prawdziwie dobry uczynek, to za wasze pieniądze musicie im kupić jakie odzienie; bo jak wam już mówiłam, pieniędzmi się nie okryją, a jeżeli matka ich chora, to któż im co za to kupi?

— Ach, Mamuniu, to kupujmy jak najprędzej — prosił Kazio.

— Ale gdzie my to kupimy? — kłopotowała się Zosia.

— No, to już ja wam na to poradzę.

I to mówiąc, dobra Mama wsiadła z Kaziem i Zosią do dorożki, a po chwili stanęli przed sklepem, w którym było dużo rozmaitego ubrania. Wprawdzie sklep ten nie był taki piękny, jak ów pierwszy z zabawkami, ale Kazio kupił całe ubranie dla biednego chłopczyka i jeszcze z trzech rubli zostało mu aż dziesięć kopiejek, a Zosia cieszyła się, że ustroi biedną dziewczynkę w ciepłą sukienkę i trzewiczki, i jeszcze będzie mogła dać dla chorėj matki dwa złote.

Zosia i Kazio, obładowani sprawunkami, wsiadli znów z matką do dorożki. Jechali długo przez rozmaite ulice, aż nareszcie zatrzymali się przed bardzo małym domkiem. Gdy wysiedli, Kazio aż krzyknął z radości, ujrzawszy dwoje tych samych biednych dzieci, dążących do drzwi domku, bo ciągle mu się zdawało, że nie trafią za nimi. Matka owych dzieci była rzeczywiście bardzo chora, oddawna pracować nie mogła i nie wstawała z łóżka, a raczej z garstki słomy rzuconej w kącie maleńkiej, ciemnej i wilgotnej izdebki. Zosia i Kazio z przerażeniem ujrzeli taką nędzę, o jakiej dotąd najmniejszego nie mieli pojęcia.

Jaka była radość chorėj, gdy ujrzała, że dzieci jój dostały ciepłe odzienie, a ona 20 groszy od Kazia i dwa złote od Zosi, do których dobra Mama dołączyła jeszcze jakiś datek na kupienie węgla do napalenia w piecu i jakiegośkolwiek pożywienia, to nie potrzebuję wam opowiadać. To tylko powiem, że Kazio i Zosia niemniej się cieszyli ze *swojej kolendy*. Wprawdzie nie zakupili zabawek, lecz gdy wieczorem zapalono świeczki około choinki, to im się zdawało, że widzą dwoje zgłodniałych i przeziębłych dzieciaków uśmiechających się teraz do nich, i biedną chorą matkę, która wznosząc ręce ku niebu prosi o błogosławieństwo dla Zosi i Kazia.

Z. Morawska.

Zabłąkane.

Julka z Józią lubiły często przechadzać się po lesie, bo mieszkały bardzo blisko dużego lasu, jednak Mama ostrzegała je często, żeby się nie zapuszczały daleko w gęstwinę, gdzie łatwo mogą zabłądzić.

Pewnego dnia poszły małe dziewczynki same w las, dalej, niż zwykle chodziły. Ra-
ptem słońce się schowało za chmury, dzieci

zmyliły drogę a chcąc wracać prędzej, biegły, oddalając się od domu. Tymczasem deszcz jesienny lać zaczął i wcześniej ściemniło się w lesie.

Okropna obawa ogarnęła dziewczynki, na próżno wołały, sądząc, że ktokolwiek usłyszysz, głos ich jednak nie doszedł uszu szukających rodziców. Lękając się zwierząt dzikich, weszły na drzewo, a wdrapując się, podarły sukienki na sobie.

Wiatr się zerwał, liście zaczęły szeleścić, gałęzie się poruszały, nie podobna było siedzieć na drzewie, zeszły więc dziewczynki szukać innego schronienia.

Na chwilę deszcz i wiatr ucichł, księżyc się ukazał, za pomocą tego dobroczynnego światła, Julka i Józia zobaczyły dziuplę w drzewie. Pnie starych drzew często próchnieją w części i powstają w nich duże otwory.

Wlazły więc do dziupli, było to jakie takie schronienie. Nigdy w życiu nie miały tak strasznej nocy. Całym ich uspokojeniem była modlitwa i polecenie się opiece Boskiej.

Dopiero wśród samotności uczuły, jakim jest szczęściem dla człowieka obecność Boga na każdym miejscu. Poleciwszy się Bogu, usnęły.

A kiedy się obudziły, słońce jasno świeciło i dzień natchnął je lepszą myślą i nadzieją prędkiego powrotu do domu. Skoro wyszły z dziupli i spojrzały na swoje ubranie, nowy niepokój je ogarnął, obawa, co rodzice powiedzą.

Suknie ich były podarte, w drzewie spruchniałym powalane, jak również twarz i ręce. Ale trudno było na to poradzić, poszły więc w nadziei, że gdziekolwiek wyjdą, i nie długo ukazał się koniec lasu, przy którym stał mały dworek.

Zbliżając się do mieszkania bogatjej kolonistki, ośmieliły się zająć do niej i prosić o wskazanie drogi do domu. Lecz i tu nowe je spotkało utrapienie, rzuciły się psy na małe obdarte włóczęgi, i żeby nie dzieci bawiące się przy bramie, byłyby je może poszarpały.

Karolina, córka kolonistki, dobre miała serce, zaprowadziła dziewczynki do swego mieszkania, dała śniadanie, barszczyk z kartofelkami, który zgłodniałym bardzo smakował.

Wkrótce potem kolonistka sama odwiozła Julkę i Józję do rodziców, bardzo stroska-

nych, którzy bezsenłą noc przepędzili, szukając swych dzieci z latarniami po lesie.

Nauka ta była wystarczającą, aby dziewczynki przekonać o potrzebie posłuszeństwa; obie ze łzami przyrzekły odtąd słuchać rodziców we wszystkim.

C. Falkowska.

GOSPODARZ I ŻREBIĘ.

(z czeskiego.)

Widząc gospodarz, że źrebię, które wychował, już jest dość silne, a nic nie robi, jął je zaprzęgać do wózka. Ale źrebię zaprządzić się nie dało i wyrzucając zadniemi nogami, wołało wielkim głosem:

— Nie zaprzęgaj mię, człowieku, czyż nie widzisz, że jestem zbyt jeszcze młode i słabe do pracy, poczekaj aż wyrosnę na silnego i dużego konia, to wynagrodzę ci czas stracony.

Wysłuchawszy tej mowy niemądrego stworzenia, odparł gospodarz:

— Nie ty, mój koniku, ale ja tylko sądzić mogę, czy pracować już powinienes. Wierz rozsądkowi starszego, bo ten nigdy nie zawiedzie; chcąc pracować jak przynależy późniejszemu, należy się za młodu do tego przyuczyc.

Zagadka.

Pierwsze litera, drugie litera, a trzecie
Nieraz czyni dorosły człowiek i dziecię,
Wszystko razem ptak,
Któremu gniazda brak.

Łamigłówka w kwadraciku. (J. K.).

W kwadraciku z 9 podziałek ułożyć 2K—4O—1M—2T— aby odczytać w obu kierunkach: 1. Zwierzę domowe. 2. Narzędzie zmysłu. 3. Książka.

Rozwiązania do Nr. 49-go

Zagadki:

Cztery pory roku.

Łamigłówki kryształowej:

K
B O H
K O W A L
S A N
L